

Spis treści

<i>Nulla dies, nulla via sine linea</i> . Przedmowa	7
Wstęp	13
Rozdział I	
Kapłan – Autor – Misjonarz	19
1. Przygotowanie, kapłańskie początki i dojrzałość	19
2. Wyjazd do Indii, powrót, zaangażowanie misyjne i duszpasterskie	33
3. Twórczość diarystyczna, epistolarna, publicystyczna . . .	43
Rozdział II	
Wyjazd i praca w ośrodku Jeevodaya	58
1. Podróż	58
2. Próba Jeevodaya	72
3. Odejście	85
Rozdział III	
W ośrodku wychowawczym w Mysore	90
1. Kierownik internatu, opiekun i wychowawca	90
2. W nurcie misyjnym	117
3. Spojrzenie na Indie i hinduizm	133
Zakończenie	138
Bibliografia	141
Aneks. „Dziennik indyjski” (wybór)	149

Nulla dies, nulla via sine linea

Przedmowa

Panie

*dziękuję Ci że stworzyłeś świat piękny i bardzo różny [...]
a także tych wszystkich którzy wskazywali mi drogę i mówili
kato kyrie kato [...]
– pozwól o Panie abym nie myślał o moich
wodnistookich szarych niemądrych prześladowcach
kiedy słońce schodzi w Morze Jońskie prawdziwie nieopisane
żebym rozumiał innych ludzi inne języki inne cierpienia
a nade wszystko żebym był pokorny
to znaczy ten który pragnie źródła
dziękuję Ci Panie że stworzyłeś świat piękny i różny
a jeśli jest to Twoje uwodzenie jestem uwiedziony
na zawsze i bez wybaczenia*

(Zbigniew Herbert)

1.

Modlitwa Pana Cogito podróżnika Zbigniewa Herberta jest rzadkim, atoli najgłębszym w polskiej literaturze poetyckim dziennikiem z „dróg przebytych”. Rzadkim również dlatego, że jest zarazem modlitwą, dziękczynieniem. Bo jakże – podróżując, podziwiając różnorodność, bogactwo i piękno stworzenia, a także ludzkich dzieł sztuki oraz pracy – nie dziękować? Tak myśleli już starożytni i średniowieczni pielgrzymi, zostawiając potomnym zapisy ze swoich podróży do miejsc świętych. Najlepszym tego przykładem jest pątniczka Egeria, która pod koniec IV wieku odwiedziła Ziemię Świętą, a swoje odwiedziny opisała w słynnym *Iti-*

nerarium. Z pewnością kierowała nią chrześcijańska pobożność, owo Herbertowe „pragnienie źródła”. A może także świadomość, że cudowna, rzymska i bizantyjska Jerozolima, jaką oglądała własnymi oczyma, jej dostojna, mieniąca się wszystkimi kolorami nieba, morza i pustyni liturgia – przeminie, zatem warto „ocalić ją od zapomnienia”?

Potem przyjdą inne diariusze podróże: „Opisanie świata” Marco Polo, „Podróże Sinbada Żeglarza”, dzienniki z podróży Herdera i Goethego, zapiski podróże Cooka, Nansena i Scotta, „Podróże do Włoch” i „Podróże do Polski” Iwaszkiewicza, „Imperium” Kapuścińskiego. Dzisiaj, w dobie mody na podróże do Grecji, Prowansji i Toskanii, do Indii i Meksyku, rozsmakowywania się w tamtejszych krajobrazach i przysmakach, wręcz kwitnie literatura podróżna i przewodnikowa. Wszystkie te dzienniki, zapisy, reportaże, bardzo ciekawe i często literacko genialne, nie mają już jednak tego osadzenia w wierze, smaku wdzięczności i chrześcijańskiej symbolice drogi.

2.

Na tym tle książka Witolda Wybulta stanowi wyjątkowe przedsięwzięcie. Autor sięgnął do typu diarystyki, którą można określić mianem „kapłańskiej”. Sporo mówi się, mówiło o fenomenie „poezji kapłańskiej”. Znamy dobrze nazwiska księży poetów: Jana Twardowskiego, Janusza Stanisława Pasierba, Wacława Oszajcy, Jerzego Szymika. Mało jednak wiemy o księżach diarystach. O tym, dlaczego piszą swoje dzienniki, jakie motywy nimi kierują. Byłem świadkiem, jak robił to jeden z nich – ks. Tadeusz Król, stryjeczny brat księdza infułata Zdzisława Króla, pochowanego w krypcie zasłużonych Polaków w Świątyni Opatrzności Bożej. Był ks. Tadeusz wieloletnim ojcem duchownym w plockim seminarium i proboszczem, a także duszpasterzem akademickim w parafii świętojańskiej. Całymi latami, po kolacji, zamykał się u siebie i nie bardzo lubił, gdy mu wtedy przeszkadzano. Dopiero

po śmierci okazało się, że w te samotne wieczory pisał dziennik, w którym zawarł zapiski z minionego dnia, wspomnienia, medytacje, poezje. Niektóre stronicie kilkakrotnie poprawiał, przepisywał. Zostało po nim kilkanaście notatników, zeszytów. Poma-gałem potem ks. Saturninowi Wierzbickiemu w benedyktyńskiej robocie ich odczytywania i redagowania. I tak 15 lat temu powstała z tego całkiem spora książka *Okruchy serca*.

Nie sądzę jednak, żeby Ojciec Król myślał o publikacji swojego dziennika. Podobnie inni księża-diaryści: wychowani do zakonnego lub quasi – zakonnego porządku dnia przywykli do medytacji, systematycznie uprawiający rachunek sumienia często właśnie w dzienniku znajdowali, znajdują formę, sposób spełniania tych podstawowych wymogów swojego powołania. Obdarzeni większymi lub mniejszymi zdolnościami pisarskimi, mniej dbający o stronę literacką swoich zapisków, okazują się znakomitymi obserwatorami życia, przede wszystkim wszelkich przejawów bądź braków życia obyczajowego i duchowego. Jest jeszcze jeden motyw kapłańskiej twórczości diarystycznej: w seminaryjnych latach uczono ich Pliniuszowej maksymy *nulla dies sine linea* – „ani dnia bez kreski” (zasada była o jakimś antycznym malarzu); żeby życie miało sens, każdego dnia należy nadać mu znaczenie. A wiara w Boga jest zaprowadzaniem porządku w pozornym chaosie spraw i zdarzeń. Gdzie znaleźć więcej znaków Bożej obecności, sensu, porządku, jak nie w codziennym życiu z wiary? I gdzie je odczytać, nadać im porządek, jak nie w dzienniku?

3.

Studium Witolda Wybulta wyróżnia coś jeszcze – Autor omawia nie tylko dziennik pewnego kapłana, ale dziennik kapłana misjonarza. Nadał nawet tym zapiskom nazwę *Dziennik indyjski*. Jest to bowiem diariusz misjonarza w Indiach – ks. Mariana Batogowskiego. Sądzę jednak, że diariusz ten nie powstałby, gdyby Batogowski nie wprawił się w tę robotę już jako student seminarium

duchownego. Młodego kleryka zachęcił do pisania ks. Leonard Świdorski, ówczesny ojciec duchowny WSD w Płocku. Tak, tak, „ten Świdorski”, autor książki „Oglądały oczy moje” i współsprawca cierpień biskupa Czesława Kaczmarka. Mimo to ks. Batogowski pisze o nim: „mój «uwielbiony» wychowawca, któremu chyba jednak zawdzięczam kapłaństwo”!

A był Marian Batogowski jednym z najwybitniejszych przedstawicieli duchowieństwa polskiego doby realnego komunizmu. Zabrzmiało to dość patetycznie, ale każdy, kto weźmie do ręki książkę Witolda Wybulta, przekona się, że formułując tę opinię mam dużo racji. Losy Księdza Batogowskiego mogły ułożyć się spokojnie i pomyślnie. Pewnie jednak ani Opatrzność nie chciała dla niego takich losów, ani on sam nie miał w sobie ani krzty „małej stabilizacji”. Już jako kleryk znalazł się w Rzymie, posłany tam zapewne, jako jeden z najzdolniejszych alumnów, przez bł. abp. Antoniego Juliana Nowowiejskiego na studia, na Uniwersytet Gregoriański. I pewnie mógł je skończyć, a potem pozostać w Rzymie w jakiejś dykasterii lub wrócić do Polski z tytułem doktora i tu robić tzw. karierę. Ale latem 1939 roku miał szczęście-nieszczęście przyjechać na wakacje do Ojczyzny. Tu zastała go wojna. Seminarium kończył właściwie „na kompletach”, doszkalać przy tej „sposobności” swoje siostry, później znakomite zakonnice – urszulanki. Wyświęcony w 1946 roku, jako wikary, a potem proboszcz przewędrował kilka znacznych parafii diecezji płockiej. O ogromie tej księżowskiej pracy w czasach realnego socjalizmu (niekiedy 34 godziny katechezy w tygodniu w zimnych, niewygodnych salkach katechetycznych!) świadczy dobrze taki zapis w jego dzienniku: „Chodzę jak koń zgarbiony w codziennym kieracie zajęć, marząc o tym, kiedy go zwolnią, kiedy będzie mógł nareszcie zwyczajnie po zwierzęcemu wypocząć”. „Po zwierzęcemu wypocząć...” – co my wiemy dzisiaj o kapłańskim poświęceniu?!

Potem Ksiądz Batogowski mógł spokojnie zaspokoić swoje życiowe aspiracje czy ambicje, gdyby takowe posiadał – za admi-

nistratury bp. Jana Wosińskiego otrzymał tzw. wysokie godności kościelne. Był wikariuszem generalnym, kapitulnym kanonikiem kustoszem. Gdy jednak odczuł, że to nie to, a diecezji potrzebny jest inny kapłański wzorzec, wybrał misję. „Trudno spowiadać się publicznie ze wszystkich motywów i powodów – usprawiedliwiać się z tej decyzji w liście do współbraci – ale mam prawo dążyć do tego, aby przynajmniej bliscy współpracownicy znali je w zakresie dostatecznym, by nie snuć nie zawsze trafne domysły, przypuszczenia, może i podejrzenia. [...] Ktoś [...] orzekł: «No tak, nie może się zmieścić w tym, co się dzieje u nas, nie może pogodzić się z rzeczywistością i szuka szerokiego oddechu». [...] «Mieszczanie się w różnych ramach» nie przychodziło mi z trudnością. Nie noszę w sobie żadnego poczucia zawodu czy niespełnionych nadziei. To, do czego dążyłem w kapłaństwie, znalazłem w pełni w radości z pracy”. Ktoś, kto od podszewki zna realia życia kapłańskiego, wie, że to mocne wyznanie. Myślę sobie nawet, że Marian Batogowski wiedział, że to samo czeka go na misjach. I tak było – w Indiach czekało go szare pięć lat harówki. Znowu bez tzw. sukcesów, bez misyjnego romantyzmu, w zmaganiu się z głupotą i tania duchowością.

4.

W książce Witold Wybult pokazuje, że ks. Batogowski był uważnym i wrażliwym diarystą. Musiał też mieć dobre pióro, skoro chętnie drukował go (ówczesny, naprawdę katolicki) „Tygodnik Powszechny”, a Tadeusz Żychiewicz, pisarz i publicysta przecież znakomity, darzył niekłamaną sympatią. Jak powiedziano, ks. Batogowski pisał swoje dzienniki już jako kleryk, a kontynuował je jako kapłan. W książce otrzymujemy tylko nieliczne fragmenty jego twórczości z lat 1968-1971 i należy tylko żywić nadzieję, że Autor znajdzie czas i siły, żeby kiedyś opublikować „Dzienniki” ks. Batogowskiego w całości. Daje nam niejako przedsmak tamtych zapisków, bowiem na ich podstawie, choć także wykorzy-

stując wiele innych źródeł, redaguje biogram swojego bohatera. Rozsmakowuje się jednak w dzienniku pisanym przez ks. Batogowskiego w drodze do Indii, a potem na kolejnych placówkach misyjnych subkontynentu. Dzięki temu otrzymujemy wyjątkowe studium z zakresu „dziennikopisarstwa misyjnego”.

Bardzo ciekawa jest w książce prezentacja realiów życia misyjnego – interesujące wnioski, jakie Autor wyprowadza z zapisków ks. Batogowskiego na temat Indii i hinduizmu sprzed czasów prześladowań chrześcijan. Uważnego Czytelnika nie mogą też nie zainteresować znakomicie wychwycone przez Witolda Wybulta opisy spotkań ks. Batogowskiego ze św. Matką Teresą i jej siostrami w ich ośrodku w Kalkucie, z ojcem Żelazko, Marią Dynowską, Anthonym de Mello. Jedno zdaje mi się najważniejsze – z książki wyziera postać mazowieckiego księdza, który – uwiedziony przez Boga jak ongiś judzki prorok – potrafił Mu dziękować, że stworzył świat piękny i bardzo różny; potrafił być wdzięczny *za tych wszystkich którzy wskazywali [mu] drogę*; potrafił harować nie myśląc o *wodnistookich szarych niemądrych prześladowcach*, a przede wszystkim rozumieć *innych ludzi inne języki inne cierpienia*.

ks. prof. dr hab. Henryk Seweryniak